

ŚREDNIO, CZYLI CORAZ MNIEJ

ACADEMIA: Co pana skłoniło do przeprowadzenia analizy średnich miast właśnie w ostatnim czasie?

PRZEMYSŁAW ŚLESZYŃSKI: Zajmuję się tymi zagadnieniami od wielu lat. Od kilkunastu lat nasz Instytut współdziała z Ministerstwem Rozwoju. Ja byłem jednym z ekspertów współpracujących przy opracowaniu Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju Premiera Morawieckiego. Obecny rząd postanowił zbadać kondycję średnich miast, by dowiedzieć się, które z nich wymagają pomocy.

Dlaczego uznano to za priorytet?

Ktoś z rządzących w końcu zrozumiał, że w Polsce nie sprawdza się model dyfuzyjno-polaryzacyjny rozwoju społeczno-gospodarczego w przestrzeni, który był takim dogmatem planistycznym wszystkich niemal ekip rządowych po 1990 r. To model zakładający koncentrację rozwoju na wielkich metropoliach – jak na nasze warunki oczywiście – z nadzieją, że one „pociągną” swoje regiony. Już wiemy, że z wielu względów tak

się nie stało. Według mnie przede wszystkim dlatego, że nie zadziałało ogniwo pośrednie między tymi stolicami a ich zapleciami i peryferiami, czyli średnie miasta. Bardzo dobra kancelaria prawna raczej nie otworzy się w Żaganiu, bo tam nie mają swoich siedzib największe spółki, kreujące popyt na tego rodzaju usługi. Z tego samego powodu młodzi wykształceni ludzie, mający swoje aspiracje zawodowe, chcący robić karierę będą przenosić się do Warszawy, a nie do Żagania, w którym brakuje dobrej pracy w dobrych firmach. Aby średnie miasta ponownie efektywnie wprząc w tryby systemu, najpierw trzeba zatrzymać negatywne tendencje. Przede wszystkim ograniczyć nadmierne koncentrowanie się różnych funkcji – urzę-

O tym, dlaczego polskie miejscowości się wyludniają, mówi **prof. Przemysław Śleszyński** z Instytutu Geografii i Przestrzennego Zagospodarowania PAN w Warszawie, autor „Analizy 122 średnich miast tracących funkcje społeczno-gospodarcze”.

dów, siedzib wielkich spółek, kancelarii prawnych i mediów – w kilku czy kilkunastu dużych miastach. Bo automatycznie właśnie tam będą wzrastać i utrzymywać się wysokie zarobki, powodujące atrakcyjność migracyjną. I tak największe aglomeracje – zwłaszcza Warszawa – ściągają ludzi najlepiej wykształconych, rzutkich i przedsiębiorczych. Takich, którzy godzą się na tempo życia w stolicy, korki, brak czasu i niekiedy

ACADEMIA na czasie geografia



Prof. Przemysław Śleszyński

prof. ndzw. IGiPZ, jest kierownikiem Zakładu Geografii Miast i Ludności IGiPZ PAN. Naukowo interesuje się geografią miast (szczególnie Warszawy i jej obszaru metropolitalnego), geografią ludności (w tym studiami migracyjnymi) oraz geografią transportu (dostępnością transportową).

p.sleszyn@twarda.pan.pl

dwunastogodzinny dzień pracy. To jest może dobre z punktu widzenia efektywności gospodarki, dla stolicy i częściowo dla całego kraju, ale fatalne i degradujące dla życia społecznego, rodzinnego, towarzyskiego. To nic innego jak patologia. Spotkały się tu więc dwa czynniki – zainteresowania moje i moich współpracowników oraz chęć ze strony rządu pomocy średnim miastom z problemami. Bardzo mocno wspieram taką ideę, bo średnie miasta są bardzo istotne.

Dlaczego?

Polska ma policentryczny system osadniczy. Nasze miasta są różnej wielkości i w miarę równomiernie rozmieszczone na obszarze kraju. Oczywiście z uwagi na uwarunkowania historyczne Polska zachodnia jest bardziej zurbanizowana niż wschodnia, a północna rzadziej zaludniona niż południowa. Wyjątkowo korzystne jest to, że polski indeks policentryczności jest jednym z najwyższych w Europie. Sytuację zbliżoną do naszej mają częściowo Niemcy, a w znacznie mniejszym stopniu Hiszpania, Szwecja, Węgry. Tam niekiedy połowa lub więcej potencjału społeczno-gospodarczego odnosi się do stolicy. Tymczasem zrównoważony, miejski system osadniczy jest dobry dlatego, że mogą w nim zaistnieć efekty synergii i nie ma negatywnych sprzężeń zwrotnych. Mówiąc obrazowo: wielki nie zjada mniejszego. Wyniki przygotowanej przeze mnie analizy dowodzą, że w Polsce ten dobry system się zmienia i że w wielu zakresach pogłębia się polaryzacja pomiędzy Warszawą i kilkoma dużymi aglomeracjami – Wrocławiem, Poznaniem, Krakowem i Trójmiastem – a miastami średnimi.

Na liście miast zagrożonych znajdują się także miasta mające nieco ponad 200 tys. mieszkańców, m.in. Radom i Sosnowiec.

Czy można nazywać je średnimi?

Klasycznie miasta średnie liczą między 20 a 100 tys. mieszkańców, ale na potrzeby Strategii wzięto pod uwagę miasta o statusie poniżej stolicy województwa. Jeśli chodzi o Górny Śląsk i Zagłębie, to rzeczywiście jest tam i Zabrze, i Sosnowiec, i Bytom. Konurbacja katowicka jest specyficzna. W pewnych zakresach powinno się ją rozpatrywać jako cały region. Jednak są tam silne zróżnicowania – są ośrodki miejskie przeżywające wielkie problemy, jak Bytom.

Jak w praktyce wzmocnić średnie miasta?

Jest kilka propozycji. Jedną z nich jest pakiet różnych działań w ramach Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju Premiera Morawieckiego. Obecny rząd jest bardzo otwarty na zmiany i kupił bardzo wiele z naszych pomysłów dotyczących kwestii osadniczych, chyba jak żaden poprzedni. Na przykład ten, że jeśli średnie miasta odzyskają dawną pozycję, to będą mogły przyciągnąć migrantów, co będzie przeciwdziałało najważniejszemu problemowi – ich depopulacji.

Skąd mieliby się wziąć owi migranci?

To jest kwestia trudna w realizacji. Z jednej strony w Polsce jest jeden z najniższych na świecie poziomów dzietności – od kilku dekad nie ma u nas zastępowalności pokoleń. Ale jeszcze poważniejszą kwestią jest największy w historii exodus Polaków za granicę. Rozpoczął się on jeszcze w latach 80. klasycznym *brain drain* – wyjechała, jak się szacuje, jedna czwarta obywateli z wyższym wykształceniem, które miało jedynie kilka procent. 700-800 tys. osób, często inżynierowie, lekarze, twórcy kultury, słowem – elita kraju. I w olbrzymiej większości nie wrócili. Polska wyłożyła na ich wykształcenie olbrzymie środki, a to Zachód otrzymał specjalistów o wysokich kwalifikacjach. To zresztą również obniżyło współczynnik dzietności.

Po 1989 r. problem się jeszcze pogłębił...

Są w Polsce takie miejsca, z których po transformacji wyemigrowała – za granicę albo do większych miast w kraju – połowa ludności. Bezrobocie, upadek zakładów przemysłowych w średnich miastach zaowocowały brakiem perspektyw ekonomicznych oraz niskimi płacami – ludzie znowu zaczęli wyjeżdżać. W 2004 r., w momencie naszej akcesji do Unii Europejskiej, był to już milion Polaków. W 2007 r. Główny Urząd Statystyczny policzył, że emigracja tzw. czasowa, powyżej 12 miesięcy, wyniosła ponad 2 mln. Od około dziesięciu lat liczba Polaków, którzy wyemigrowali do UE, oscyluje wokół 2-2,5 mln. I to jest właśnie ten zasób, który z powodów ekonomicznych nie zasilił w dużej mierze średnich miast.

Czy tendencje migracyjne Polaków wciąż są tak wysokie?

Wyjeżdża coraz mniej osób. Mniejsze miejscowości, wsie, obszary peryferyjne, rzadziej zaludnione, gdzie są niższe zarobki, nie mają już takiego potencjału ludzkiego mogącego emigrować. Chciałbym podkreślić, że migracja sama w sobie nie jest zła, jeśli na miejsce tych, co wyjechali, napływają inni albo pojawiają się następne roczniki. Teraz nowych urodzeń jest za mało.

Dlaczego?

Jedną z przyczyn to tzw. drugie przejście demograficzne – teoria wyjaśniająca przemiany małżeństwa i rodziny sformułowana w latach 80. przez holenderskich uczonych Rona Lesthaeghe i Dirka van de Kaa. Głosi ona, że wraz z postępem cywilizacyjnym ludzie są coraz mniej skłonni do ożenku i płodzenia oraz wychowania potomstwa albo że przesuwają decyzje prokreacyjne coraz dalej w przyszłość. Zdarza się, że zaczynają hołdować konsumpcyjnemu i hedonistycznemu stylowi życia. Niektóre kraje wysokorozwinięte – Francja, Niemcy i wiele innych krajów Europy Zachodniej – doświadczyły tego już w latach 70. Polska 20 lat później. Bo im kraj bardziej konserwatywny, tym później dochodzi tam do drugiego przejścia de-

POLSKIE MIASTA

mograficznego. Zawsze rodzina była dla nas bardzo ważna, a tu „znowu” przyszło do nas z Zachodu coś „złego” i dzieci przestały się rodzić, przestaliśmy wychodzić za mąż i się żenić. Tylko kariera! Wykształcona kobieta chce pracować cały dzień, a następnie pójść do kina, zamiast gotować i pracować pieluchą. To oczywiście złośliwe uproszczenie, ale oddaje ono obrazowo pewien niebezpieczny trend w kulturze masowej polegający na porzucaniu wartości rodzinnych, egoizmie, wyścigu szczurów itp.

Ale we Francji mnóstwo wykształconych kobiet ma po dwoje, troje dzieci...

Dochodzimy tu do sedna problemu. To, że w naszej części świata oboje małżonków może pracować i realizować swoje potrzeby zawodowe, rozwojowe, kulturalne i inne, jest wielkim współczesnym osiągnięciem cywilizacyjnym. Ale to wymaga efektywnego godzenia spraw rodzinnych i zawodowych. Dlatego tak istotną kwestią jest tu polityka prorodzinna, której dotkliwie brak w naszym kraju po 1990 r., a być może i wcześniej. Złożyło się na to wiele rzeczy, ale sprawą kluczową było chyba pozbycie się poczucia odpowiedzialności państwa za obywatela, jakieś takie odregulowanie w drugą stronę nadmiernej opieki socjalnej lub wręcz patologicznego nadzoru wielu sfer życia za czasów PRL. Pamiętam, jak minister pracy około 2006 r. postulowała zakładanie żłobków w zakładach pracy. To był świetny pomysł, dzięki któremu rodzice mogliby oszczędzić sobie wielu godzin dojazdów, a matka często mogłaby kontynuować pracę zawodową, unikając ryzyka wypadnięcia z rynku pracy. Pomysł ten został bezlitośnie wyśmiany tylko dlatego, że minister reprezentowała Samoobronę. Zarzucano jej pomysły „rodem z PRL”, mówiono o „socjalnych przeżytkach”.

Absurdalne zarzuty.

Ale, niestety, formułowały je opiniotwórcze media. Od tamtych czasów absurd w Polsce jeszcze się pogłębił, ponieważ pogłębiły się podziały ideowe i polityczne. Polacy gdzieś zatracili zdrowy rozsądek. Wciąż zbyt wiele osób nie umie myśleć samodzielnie, kieruje się przekazem medialnym, ocenia innych na podstawie ich poglądów politycznych. To jest złożony problem, wynikający z braku doświadczenia obywatelskiego. Podczas gdy w innych krajach demokracja kształtowała się od XVIII czy XIX w., ewolucyjnie niektóre partie mają tam po sto lat...

...a te same gazety wychodzą nieprzerwanie od 200 lat...

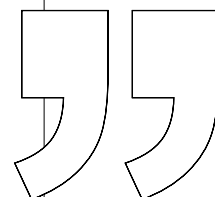
...to u nas były zabory. W dwudziestolecie międzywojennym kraj też był bardzo skłócony, ale dużo zrobiono, istniał jakiś taki instynkt samozachowawczy w sprawach strategicznych, Piłsudski rozmawiał z Dmowskim. Potem wojna, okres komunizmu – co można w takich warunkach zbudować? Zwłaszcza

w warunkach niefortunnego położenia geograficznego i geopolitycznego między Niemcami a Rosją. W stosunku do krajów, w których zbudowano demokrację, jesteśmy wciąż do tyłu.

Powróćmy do problemów demograficznych. Jaka jest ta druga przyczyna niskiej dzietności?

Czynniki ekonomiczne. Z wielu badań wynika, że przeszkodą dla młodych w założeniu rodziny jest brak pewności co do własnych dalszych losów, związany z ryzykiem utraty pracy, brakiem mieszkania itd. Te wszystkie umowy śmieciowe, trudności z uzyskaniem kredytu na mieszkanie. Równocześnie Polacy są narodem w indywidualnym sensie bardzo odpowiedzialnym. Z jednej strony bardzo sobie cenią tradycyjne wartości i rodzinę, a z drugiej są przewidujący. Ojciec i matka, którzy nie mają wystarczających dochodów z powodu takiego a nie innego rynku pracy, zarobków, nie chcą powiększać rodziny, by nie gotować dzieciom większej biedy. To moja duża spekulacja, ale już w latach 60. powstała na Zachodzie ekonomiczna teoria płodności Beckera i Leibensteina, która zwraca uwagę mniej więcej na ten problem, tylko nie chodzi o dobrobyt dzieci, ale o obawę rodziców przed spadkiem ich poziomu życia, względnie ryzyko niezyskiwania wyższych dochodów z powodu zajęcia się rodziną. W sumie trzeba przyznać, że współcześnie czynniki ekonomiczne czy nawet czysta ekonomia odgrywają zbyt dużą rolę w życiu społecznym.

W Polsce trzeba myśleć o rozwiązaniu sprawy transportu i korków, zwłaszcza zmniejszać mobilność dzienną.



I to się nie zmienia od wielu lat...

Ale dlaczego tak jest? To trzeba zbadać. Kolejną ważną dla średnich miast kwestią jest zmiana podziału administracyjnego z 1999 r. Pojawia się coraz więcej argumentów na to, że zmniejszenie liczby województw nie było rozwiązaniem optymalnym i przyczyniło się do pogłębienia dysproporcji między regionami, że postawiono tylko na rozwój miast wojewódzkich. Od początku zresztą naukowcy zgodnie mocno to krytykowali za to, że nie odzwierciedla rzeczywistych ciężarów i zasięgów oddziaływania, że jest w nim wiele sprzeczności historyczno-kulturowych itd.

I co z tym zrobić?

Stary podział kraju miał nie tylko zalety, ale także wady. Jedną z zasadniczych było to, że stare wojewódz-

ACADEMIA na czasie geografia

twą były zbyt małe, aby prowadzić sensowną i efektywną politykę regionalną i prorozwojową. Byłoby może jednak lepiej, gdyby model polityki regionalnej był bardziej scentralizowany, bo widać wielkie tarcia między regionami, „wrywanie” sobie pieniędzy na inwestycje. Skutkuje to chaosem w polityce inwestycyjnej, a tym samym prowadzi do nieefektywnego zagospodarowania przestrzennego kraju. Gdybyśmy zatem mieli dziś wrócić do podziału na większą liczbę województw, to na pewno nie na 49.

Według moich analiz najbardziej optymalne dla Polski byłyby dwa modele podziału administracyjnego. Jeden z nich mógłby opierać się na zmniejszeniu liczby województw do maksymalnie 10-12 i najwyżej 120 powiatów. W latach 90. przywrócono taki podział na powiaty, jaki był kiedyś – ze względów historycznych i kulturowych. To był błąd, bo dawny podział był skrojony na czasy, kiedy jeździło się końmi i mobilność ludności była inna. Dziś poruszamy się samochodami,

wynika z aktualnie kształtujących się dojazdów i lokalnych rynków pracy ogniskujących się tylko wokół wybranych stolic powiatów. Zdaję sobie sprawę, że te 100-150 miast odebrałoby ludność wsiom i mniejszym miastom, ale stanowiłoby to mniejsze zło, ponieważ 10-tysięczne miasto tracące ludność poradzi sobie, ale 100-tysięczne już nie – za dużo jest w nim infrastruktury, za dużo środków zostało zainwestowanych. Na niektórych obszarach kraju, na przykład na wschodzie czy południu, byłoby to wręcz korzystne, wciąż mamy tam bowiem do czynienia z przeludnieniem agrarnym i niską, „niedokończoną” urbanizacją oraz z nieefektywnie rozdrobnionym osadnictwem wiejskim.

Na czym opierałby się drugi model podziału administracyjnego?

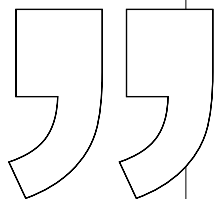
Na likwidacji wszystkich powiatów i zwiększeniu liczby województw do około 20, może 30. Przy czym obydwa proponowane przeze mnie warianty zakładałyby także reformę gmin. Jak wspomniałem, nie wszystkie będą się w stanie utrzymać z własnych wpływów i musiałyby wnosić o subwencje. Ale przecież nie po to istnieje gmina, żeby była zasilana tylko z budżetu centralnego – jeśli chce być samorządna, to powinna sama się utrzymać. Istnieje też problem tzw. gmin obwarankowych – wiejskich w otoczeniu miejskich, z tą samą nazwą i nieraz siedzibą obok, jak Bolesławiec czy Siedlce. Jest ich ok. 150. Generuje to wysokie koszty utrzymywania w zasadzie podwójnej administracji – mieszkańcy płacą podatki w gminie wiejskiej, ale korzystają z usług zlokalizowanych w mieście i przez nie utrzymywanych. Jest też wiele małych gmin we wschodniej czy północnej Polsce, które można by połączyć, z korzyścią dla mieszkańców. Biedne mogłyby zostać przyłączone do bogatszych.

Wątpię, by jakaś bogata gmina chciała, by przyłączono do niej ubogą...

I tu dochodzimy do ważnej kwestii: roli państwa w administrowaniu. Czyli dyskusji podobnej do tej, która dotyczy Warszawy jako jednostki administracyjnej. Skoro to jest stolica państwa, to odpowiedzialność za jej rozwój powinna spoczywać nie tylko na władzach miasta, lecz także na władzach kraju. To państwo powinno być aktywnym negocjatorem czy nawet – jeśli lokalne społeczności nie mogą się dogadać – decydem w takich sprawach, bo inaczej sporo nas to kosztuje.

A jakie było pana stanowisko w toczonej się kilka miesięcy temu dyskusji na temat przyłączenia do Warszawy gmin ościennych?

Naukowcy są tu bardzo zgodni – jeżeli małe miasto albo gminy łączą silne związki funkcjonalne z dużym miastem – dojazdy, szkoły, sklepy, instytucje, urzędy itd. – to wszystko to powinno być zarządzane wspólnie. Rozbieżności pojawiają się, gdy chodzi o konkretne propozycje. Według mnie powinno powstać coś



Pogłębia się polaryzacja pomiędzy Warszawą i kilkoma dużymi aglomeracjami a miastami średnimi.

którymi możemy dotrzeć z jednej stolicy powiatu do sąsiedniej czasem w zaledwie kilkanaście minut. To absurd. Poza tym powiatów ziemskich jest 314 i zostały wyposażone w zbyt małe kompetencje. Do tego mamy – powiem raz jeszcze – depopulację. Liczba ludności w Polsce, według moich szacunków, spadnie do 2050 r. nie o 3-4 mln, ale o 5-7 mln, bo Główny Urząd Statystyczny zawyża liczbę ludności, licząc do prognozy tych, którzy z Polski wyemigrowali, nie wymeldowując się. Można się więc spodziewać, że za 20-30 lat sytuacja wielu obszarów peryferyjnych będzie tragiczna. Miasta będą mniejsze, w niektórych liczba mieszkańców spadnie nawet o połowę. O ile sam spadek nie jest jeszcze najgorszy, to poważnym problemem będzie silne starzenie się populacji i perturbacje na rynku pracy. Priorytetem dla państwa powinno być teraz to, by zastanowić się nad tym, jaki model podziału terytorialno-administracyjnego byłby w tej sytuacji najefektywniejszy i najbardziej racjonalny.

Co dałaby likwidacja części powiatów?

W większym powiecie można by załatwić więcej spraw. Tym samym ten ośrodek byłby silniejszy, spełniałby więcej funkcji i oferowałby atrakcyjniejsze miejsca pracy i karier, mógłby przyciągnąć więcej migrantów. Według mnie naturalnych regionów jest 100-150, to

na kształt obszaru metropolitalnego jako wydzielonej jednostki terytorialnej, zresztą nie tylko w Warszawie. Można to jakoś zgrabnie nazwać, by nie budziło kontrowersji o podłożu ambicjonalnym. Warszawa zatem powinna się powiększyć czy też ściślej – to, co jest tzw. dziennym systemem miejskim lub miejskim obszarem funkcjonalnym, powinno przeobrazić się w konkretny, usankcjonowany prawnie byt administracyjno-terytorialny, z jednolitym systemem zarządzania. Politycy wybrali wiosną jednak najgorszą z możliwych dróg. Zamiast dyskusji na ten temat i życzliwego wsparcia ekspertów – które na pewno by dostali – z zaskoczenia ogłosili swój plan dotyczący stolicy. Po tym fakcie przygotowałem dość dużą ekspertyzę dla Senatu, gdzie to wszystko wyłożyłem, ale to była chyba musztarda po obiedzie. Problem polega na tym, że wybrano najbardziej miękką z modeli tworzenia takich obszarów funkcjonalnych, pozwalającą na to, by gminy same się dogadywały. I różnie to wychodzi. Jedna może się na przykład nie zgodzić na utworzenie jakiejś wspólnej dla wszystkich inwestycji i wówczas trzeba będzie ją zbudować w gorszej lokalizacji, gdzie na przykład suma koniecznych przejazdów lub koszty eksploatacji będą większe. Mogą wystąpić kłopoty z systemem wywozu śmieci czy poprowadzeniem kanalizacji. Jest wiele absurdów wynikających z tego, że w 1990 r. chyba za bardzo uwierzyliśmy w to, że wszyscy możemy być całkowicie samorządni i odpowiedzialni za dobro wspólne w sytuacji, gdy nie mamy takich zakorzenionych doświadczeń.

Wciąż szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie?

Brak odpowiedzialności za dobro wspólne, czyli – mówiąc krótko – sobiepaństwo.

I brak myślenia wspólnotowego.

Tak – niechęć do brania odpowiedzialności za coś, co wykracza poza nasz mały ogródek. To działa na wielu poziomach. Dotyczy choćby rozproszonej zabudowy i chaosu urbanistycznego. Otóż prawo własności pozwala się budować właściwie wszędzie, o ile ma się działkę. Nawet na terenach chronionych istnieją do tego liczne furtki prawne. Można np. postawić sobie dom pod lasem, 3 km od wsi. I zgodnie z prawem gmina ma obowiązek zbudować do niego drogę, doprowadzić kanalizację, zorganizować wywóz śmieci, odśnieżanie itd. W Komitecie Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN zajmujemy się ostatnio liczeniem kosztów związanych z takim rozproszeniem osadnictwa – planujemy wydanie raportu na wiosnę 2018 r. Chodzi o setki miliardów złotych, a polska gospodarka jest przez to niekonkurencyjna.

Gdy zabudowa jest rozproszona, potrzeba więcej wszystkiego.

Moi koledzy z Opola – prof. Krystian Heffner i dr Piotr Gibas – policzyli, że jeżeli dom jest oddalony od pozo-

stałych o ponad 300 m, to każdy kolejny metr więcej niż 300 oznacza dla gminy – średnio – 1600 zł w ciągu ośmiu lat. Jeżeli przemnożymy to przez wszystkie tego typu budynki, wychodzi ok. 60 mld zł rocznie. To gigantyczne pieniądze wyrzucone w błoto. To, że codziennie w dużych miastach stoimy w korkach, to również efekt rozproszonej zabudowy, bo żaden transport publiczny nie będzie w takiej sytuacji efektywny – przystanki trzeba by postawić w pobliżu niemal każdego domu. Dlatego w rozlanych przedmieściach miast nie ma na ogół komunikacji publicznej, a każda rodzina ma samochód, a nawet dwa, gdy oboje małżonków pracuje. Są gminy, w których w planach przeznaczają się miejsce dla populacji dziesięciokrotnie większej, niż wynosi aktualne zaludnienie, a następnie pozwolenia na budowę wydaje się w odległości 4–5 km od szkoły podstawowej czy apteki. W Polsce trzeba więc myśleć o innych sposobach rozwiązania sprawy transportu i korków, zwłaszcza zmniejszając mobilność dzienną, bo inaczej nie wystarczy ziemi na drogi. Niektórzy postulują, by zwiększać mobilność Polaków związaną z dojazdami do pracy. Czyli mają dojeżdżać do niej sto kilometrów?

Niska polska pensja nie pokryłaby kosztów.

Obliczyłem kiedyś, jak daleki dojazd byłby opłacalny przy średniej pensji osób zatrudnionych w miastach wojewódzkich i wyszło mi, że to przeciętnie byłoby 30–40 km. Dlatego trzeba dekoncentrować rynki pracy, żeby rozwijały się one jak najlepiej nie tylko w stolicach województw. To recepta dla średnich miast.

Jak podźwignąć je z kryzysu ekonomicznego?

Potrzebna jest reindustrializacja i lokalne zachęty biznesowe, zwolnienia podatkowe dla kreatywnych start-upów. Zdekoncentrowanie funkcji zarządzania gospodarczego – nie wszystko musi znajdować się w Warszawie. Dotyczy to również innych instytucji – Narodowe Centrum Nauki udało się przenieść do Krakowa. Trzeba zachęcić ludzi do osiedlania się w średnich i mniejszych miastach, gdzie koszty życia są niższe, jest mniejsza kongestia, zostaje więcej czasu dla siebie i dla rodziny, na życie towarzyskie i społeczne. Być może poprzez regulowanie programów mieszkaniowych i niekierowanie ich do metropolii, ale właśnie do średnich miast. Polityka rozwoju powinna być ukierunkowana bardziej regionalnie i wyspecjalizowana, a nie taka sama dla całego kraju w sensie zachęt, zwolnień podatkowych itd. Tu jest właśnie rola państwa, aby przekonać biznes, samorządy, w tym największe miasta, że to się wszystkim opłaci. Potrzebna jest tu zgoda społeczna, ale w obecnych warunkach politycznych to towar deficytowy.

Z PROF. PRZEMYSŁAWEM ŚLESZYŃSKIM
 ROZMAWIAŁA ANNA KILIAN
 ZDJĘCIE JAKUB OSTAŁOWSKI